



MONIKA ORLIŃSKA

DRZEWO

LAS • TOM 1

ADAMA

Na Podlasiu pamięć
zapuszcza korzenie głęboko

MONIKA ORLIŃSKA

DRZEWO

LAS • TOM 1

ADAMA



Copyright © 2026 by Monika Orlińska
Copyright for this edition © 2026 by Grupa Wydawnicza Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Anna Piechota

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

ILUSTRACJE NA OKŁADCE: © ESIPOOS @ Adobe stock, © Azahara
MarcosDeLeon @ Adobe stock, © Javed @ Adobe stock

WYDANIE I

ISBN: 978-83-8412-748-3

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska

SPIS TREŚCI

Dramatis personae, Tom I, II, III

Prolog

Część 1. Nasienie

1. O chłopcu, który łowił raki

2. O powrocie i pożegnaniu

Część 2. Nalot (siew)

Część 3. Młodnik

Część 4. Tyczkowina

Część 5. Dragowina

Część 6. Dojrzewanie. Rębnia

Część 7. Starodrzew

Część 8. Korzenie

*...a tamten las jest dla nas dla was
umarli proszą też o bajki
o garstkę ziół o wodę wspomnień
więc po igliwiu po szelestach
i po zapachów wątłych przędzach
to nic że gałąź zatrzymuje
że cień po krętych wodzi przejściach
ale odnajdziesz i odemkniesz
nasz Las Ardeński*

Zbigniew Herbert, *Las Ardeński*

*Czas także ulega potknięciom i wypadkom i dlatego może się
rozbić, i zostawić w jednym pokoju ułamek swojej
wieczności.*

Gabriel Garcia Marquez, *Sto lat samotności*

TOM I

DRAMATIS PERSONAE, TOM I, II, III

Rodzina Jabłońskich, Zawistowskich i Borków

Adam Jabłoński – fizyk kwantowy, pracuje na Uniwersytecie Warszawskim

Anna Jabłońska – matka Adama

Józef Jabłoński – ojciec Adama, matematyk na Politechnice Warszawskiej

Basia Jabłońska – siostra Adama

Zenek Jabłoński – brat Adama

Anzelm Zawistowski – dziadek Adama

Melania Zawistowska, z domu Hajduczyk – babcia Adama

Teresa Borek, z domu Zawistowska – ciotka Adama

Tadeusz Borek – wuj Adama

Aleksander Borek, Olek – kuzyn Adama

Rodzina Fiedorczyków

Lucyna Fiedorczyk – przyjaciółka Teresy

Filip Fiedorczyk – rolnik

Irenka Fiedorczyk – najmłodsza córka Lucyny

Rodzina Hajduczyków

Paweł Hajduczyk – rolnik, sołtys do 1966 roku

Halina Hajduczykówna – żona Hajduczyka

Andrzej Hajduczyk – sołtys w roku 1971

Zofia Hajduczyk – żona Andrzeja

Arek Hajduczyk – chłopiec z balkonikiem

Janeczka Hajduczyk – miedzianowłosa dziewczyna

Isia Hajduczyk – czterolatka

Kazik Hajduczyk, brat Gezelin – zakonnik zgromadzenia paulinów na
Jasnej Górze

Karol i Aniela Hajduczyk – rodzice Melanii

Rodzina Horowiczów

Adrianna Horowicz – malarka

Moryc Horowicz – lekarz, chirurg

Salomea Horowicz – żona doktora

Hawa Horowicz – córka doktora

Rodzina Kobusów

Roman Kobus – rolnik, członek oddziału Buka do roku 1944

Adolf Kobus – rolnik, syn Romana

Waldi Kobus, Wąsik – bezrobotny, bratanek Romana

Franek Kobus – uczeń, bratanek Romana

Rodzina Marcyniaków

Czesław Marcyniak – kierownik poczty

Janusz Marcyniak – syn Czesława, rolnik

Heromka Marcyniakowa – żona Czesława Marcyniaka

Rodzina Nagórków

Maciej Nagórek – nauczyciel

Stary Nagórek (Piotr Nagórek) – przedwojenny nauczyciel

Julian Nagórek – partyzant z oddziału Chwata, syn Piotra

Rodzina Niemyjskich

Heniek Niemyjski – współpracownik sekretarza Wojno, syn Antoniego

Antoni Niemyjski, Buk – dowódca oddziału partyzanckiego

Wacław Niemyjski – brat Antoniego

Stanisław Niemyjski, Ochra – żołnierz AK, kuzyn Antoniego

Estera Niemyjska, z domu Kozioł – żona Wacława

Kasia Niemyjska, Kasiénka – siostra Stanisława

Agnieszka Niemyjska – siostra Stanisława, ciotka Heńka

Marta Niemyjska, z domu Modzelewska – żona Antoniego, siostra Miłosza

Roch Niemyjski – krawiec z Krakowa, wuj Antoniego, Stanisława,
Wacława, Agnieszki i Kasiénki

Jadwiga Niemyjska, Jadzia – córka Rocha

Rodzina Wojnów

Marian Wojno – członek oddziału Buka, brat Władysława

Władysław Wojno – Pierwszy Sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR
w Wysokiem Mazowieckiem

Małgorzata Wojno – córka Władysława

Ludwika Wojno – żona Władysława

Rodzina Ratajczaków

Jan Ratajczak – policjant

Pola Ratajczak – żona Jana

Leoś Ratajczak – syn Jana

Inni mieszkańcy Połap

Leontyna Kosk, Lonka – woźna szkolna
Miłosz Modzelewski – ksiądz
Krysia Kostro – sklepowa
Janina Porucznik, Twarda – nauczycielka
Jan Stawirej, Chwat – dowódca oddziału partyzanckiego
Tadek Stawirej – poległy syn Stawireja
Felek Pieńkos – sklepikarz, elektryk, hydraulik

Rodzina Tymińskich

Jolka Tymińska – pracownica poczty
Elka Tymińska – gruba Elka, koleżanka Adama ze szkoły
Jan Tymiński – partyzant

Pozostali

Maryla Karpińska – fizyczka, pracownica Uniwersytetu Warszawskiego
Józef Kalinowski – notariusz z Krakowa
Sikora – notariusz z Wysokiego Mazowieckiego
Tarka – inspektor milicji obywatelskiej, oficer UB
Anzelm Zawistowski – lekarz, chirurg
Bluma Kozioł – siostra Estery
Jakob Borensztajn – ukochany Blumy
Babka Mateczka – szeptucha
Łaja Birencwajg – Żydówka ukrywana u Nagórków

PROLOG

31 SIERPNI 1971, WTOREK, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Pierwszy sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR leżał na szarych deskach podłogi w chacie zwanej Podlesiem. Ogarniało go z wolna przejmujące zimno: czy to wieczorny chłód, czy lodowate przecucie. Zaniechał szarpaniny i nie wydawał już żadnych odgłosów. Jego dłonie, skrępowane za plecami zbyt mocno, zapewne nie przez przezorność, ale z pragnienia zadania bólu, sine i opuchnięte, wyglądały jak posmarowany powidłami niedosmażony pączek. Leżał bez ruchu, wsłuchując się w głosy zza zamkniętych drzwi. Próbował jeszcze wymyślić dobre zakończenie tej historii. A może po prostu poddał się rezygnacji. Drgnął, bo głosy zza drzwi stały się niespokojne i zbliżyły się: byli w sieni. Ktoś otworzył drzwi, ktoś krzyknął „uważaj!”, ktoś, torując drogę, odsunął dębową ławeczkę, sekretarz usłyszał jej szuranie po wyślizganej polepie. Z nadzieją odwrócił głowę w kierunku okna. Nie było to proste w jego pozycji, kark zeszywniał i sekretarz syknął z bólu, usiłując dostrzec coś w ponurej poświacie kończącego się dnia. Okno było uchylone. Pomiedzy rozsuniętymi firankami zobaczył pochylone głowy.

Zrozumiał, że wynoszą go, tego idiotę, kretyna z misją Bóg wie czego, który rozwalił wszystko. Ktoś popłakiwał. Kobiety zalecały ostrożną jazdę, sekretarz rozpoznał głos doktora Zawistowskiego, który obiecywał zadzwonić, jak tylko będzie wiadomo. Drgnął na dźwięk kobiecego głosu, który krzyknął z oddali, żeby się pospieszyli. Nie... nie... niemożliwe... to nie ona, o nie, nie! Nie, nie ona, na pewno nie ona, to tylko złudzenie. Tak

bardzo pragnąłby ją teraz zobaczyć. Swoją truskaweczkę. Przy oknie na chwilę pojawiły się głowy mężczyzn niosących bezwładne ciało. Po chwili sekretarz usłyszał dźwięk uruchamianego silnika i z nową siłą podjął wołanie o pomoc.

CZĘŚĆ 1.
NASIENIE

Wróciłem.

Dłuzyla się ta droga, ale jestem tu, nareszcie, aby próbować opowiedzieć ci, kim się stałem. Chciałaś tego zawsze. To ja uciekałem. Może nie wiem jeszcze wszystkiego, ale czy można wiedzieć wszystko?

Początkiem musiał być tamten dzień.

To był zwykły poranek dni szczeniństwa, z takich, które otulają całą przyszłość bezpieczną radością życia. Nic nie wyróżniało go spośród wielu innych, leniwie pełznących pomiędzy drewnianymi chatami i ich pochyłymi płotami, pomiędzy wierzbowymi miedzami i szarymi redlinami pól ziemniaczanych.

A jednak przed nim nie mogę przypomnieć sobie nic konkretnego. Dopiero tamte chwile widzę dziś dokładnie tak, jak się toczyły lub jak mogły się toczyć. Omiótł mnie łagodny wrześnieowy wiatr. Nade mną stał nieruchomy czysty błękit.

1. O CHŁOPCU, KTÓRY ŁOWIŁ RAKI

Wrzesień 1952

Rzeka, z daleka niewidoczna, wije się polami, żłobi koryto między piaszczystymi urwiskami. Wykrawa sobie przestrzeń z łagodnie pofałdowanych łągów. W jej zimnej wodzie, zanurzony po podciągnięte na uda portki, brodzi chłopiec. Pochyla się, gdzie słaby nurt miota się w zakolach, między gałęziami i bobrowymi zaporami. Bose stopy ześlizgują się po omszałych kamieniach. Czasem prostuje się i spogląda w górę, przysłaniając ręką oczy. Słońce razi z pomarszczonej tafli. Woda niesie pierwsze jesienne listki brzoź i grabów porastających brzeg. Z przewieszoną przez ramię siatką chłopiec stąpa po mulistym dnie zsiniałymi nogami: łapie raki. Jak nałapie ich całe wiadro, będzie obiad. Trzyma rozwidlony patyk, jak do pieczenia kiełbasek. Przyciska raka do piasku, a rękami chwyta za pancerz na grzbiecie i wkłada do siatki. Ściśnięty żołądek daje znać, że od świtu minęło wiele godzin. Chłopiec wie: by nie czuć głodu, nie wolno o nim myśleć. Wyobraźnia dryfuje, zatrzymuje się przy biurku ojca w dalekim mieście, potem znienacka zawraca do wczorajszej bójki pod płótnem szkoły. W końcu zatacza krąg – płynie do domu, gdzie promienie słońca na firance i plecy mamusi krzątającej się przy kuchni, a na stole talerz pachnących zacierek na mleku.

Znaczy, pora wyjść na brzeg.

Chłopiec kładzie się na podgrzanym słońcem piachu, opiera stopę na ugiętym kolanie i zdejmuje pijawkę przyssaną do łydki. Z drugiego uda, tuż nad linią spodni, wykręca kleszcza. Opuszcza wilgotne nogawki, wzuwa

duże skórzane buty, nie sznuruje ich. Rusza z przykrytym siatką wiadrem w kierunku domu. Po chwili puszcza się biegiem ku wypłowiej w jesiennym słońcu ścianie lasu.

Ma na imię Adaś.

Czy tak właśnie było? Może to wtórne, skłamane sobie samemu obrazy? Zrodzone z fałszywych przebitek pamięci, nałożonych na wszystko, czego później się dowiedziałem, co mi powiedziano i co musiałem sam sobie dopowiedzieć? Lub ze snów nawiedzających duszne noce w ciasnym warszawskim pokoju? Czy myślisz, że mam jeszcze dostęp do tamtego czasu?

Adaś biegnie, prędko, żeby już, zaraz, znaleźć się za furtką domu. I by rozgrzać drobne ciało, zanim ogarnie go cień wychłodzonego nocą lasu.

O lesie myśli z szacunkiem. „Las nas żywi” – mówi ciotka Teresa. „Las jest naszym schronem” – mówi dziadek Anzelm. Dla malutkiego Zenka i dla Basi, która zeszłego lata nauczyła się chodzić, las jest nieprzeniknioną ścianą, w którą można się zapuszczać tylko z mamą. Ale dla niego to jest teren jagód, grzybów, chrustu, dzikich zabaw, fortów w wojnach z chłopakami. Jego ucieczka od świata, jego królestwo, znane równie dobrze jak zagroda ciotki Teresy. Las ma też w sobie coś groźnego, coś ocierającego się o lęk o Czerwonego Kapturka, który w swej naiwności odpowiada uprzejmie na pytania wilka. Coś... strasznego. Jakieś miny, jakieś wojny, groby i okopy. Krążące po polanach duchy zmarłych zakłęte w dzikie zwierzęta. Zasłyszane urywki zdań, słowa cicho mówione między dorosłymi. Adaś nie wie do końca, co to, więc nie myśli się bać.

Trzeba zwolnić pośród pierwszych drzew. Ogarnia go zapach zwiędłego listowia, grzybni i wilgotnej ściółki. Przed nim szeroka przecinka, aż do brzozonego zagajnika. Wiadro ciąży, ręka drętwieje. Chciałby już znaleźć się w domu, usiąść w jasnej kuchni. Zarzuca wiadro na plecy i przyspiesza.

Wtem z ciszy zagajnika, z krzewów – właściwie znikąd – ktoś wybiega. Drobną postać w ostatniej chwili spostrzega jego zbliżający się kształt i uskakuje. Unika zderzenia o włos.

Dziecięca sylwetka, owinięta wielką chustą – dziewczyna! Kręcone ciemne loki zebrane w ogon pod chustą wyślizgują się jak sprężynki. Spłoszona gwałtownym uskokiem, wytrącona z biegu, odzyskuje równowagę. Na Adasia patrzą wielkie brązowe oczy z gęstym welonem rzęs. Oddycha szybko, musiała biec. Chciałby zapytać, kim jest, nabiera powietrza, ale dziewczynka rusza biegiem, przecinając ścieżkę, i niknie w gęstwinie lasu, zanim on zdąży wydać z siebie głos. Wypatruje za nią ruch potraconych gałązek, nasłuchuje szelestu spod jej stóp, ale las milczy. Trwa, jakby nic się tu przed chwilą nie wydarzyło. Niemożliwe. Adaś rusza tam, gdzie znikły jej plecy, wbiega między drzewa, ale nie znajduje śladu po małej zjawie.

– Hej! – woła jeszcze w las, ale nie odpowiada mu żaden dźwięk poza szumem jesiennego wiatru w liściach. – Halo!...

Las udaje, że dziewczynka wcale do niego nie wbiegła, że w ogóle jej tu nie było.

– Adam, bój się Boga, gdzieś się podziewał?

– Mało było, zaszedłem na Tarnawiznę.

– Pokaż.

Mama zadowolona głaszcze płowe włosy chłopca, całuje go w czoło.

– Będzie obiad. – Uśmiecha się do niego. – Teresa!

– Aaa? – ciotka odzywa się z głębin piwnicy.

– A chodź no, Adam wrócił.

– Ma coś?

– Ma, będzie zupa, spisał się.

Mama patrzy z dumą, jak Adaś zanurza ręce w miednicy, szoruje mydłem. Polewa mu dłonie, podaje ręcznik, a jemu żołądek przylepia się do pleców. Przelyka ślinę.

– Zacierki są?

– Nie ma, wuj resztę zjadł. Ale mam dla ciebie coś.

Odwraca się i zza leżących na okapie pomidorów wyciąga jajko.

Adaś szeroko otwiera oczy. Mama spogląda w otwór piwniczny. Ciotki nie widać. Puszczą do niego oko, obraca się błyskawicznie, stawia patelnię na miejsce czajnika, miesza jajko z garstką mąki, zalewa mlekiem. Za chwilę Adam siedzi przy stole i pochłania łapczywie lekko ściętego grzybka. Zanim ciotka wyłoni się z piwnicy, w kuchni unosi się zapach gorącego mleka, które Adam pije z emaliowanego kubka. Ciotka czujnie pociąga nosem, spogląda na fajerkę, na której grzeje się woda, i na siostrę, która wyjmuje do miski raki, coś budzi jej niepokój, ale nie wie co, może ogromne błękitne oczy Adasia znad kubka mleka, może spokojne ruchy siostry.

– Pokaż no. – Podchodzi do rakowego wiadra. – Dobrze. Wyszoruj porządnie.

Jeszcze jedno czujne spojrzenie na Adasia i zanurza w miednicy ręce całe uczernione od węglowego kurzu.

Mama w skupieniu szoruje raki. Uśmiecha się ledwo zauważalnie.

Adaś może teraz wstać, wyjść, posiedzieć w cieniu kasztanowca pod krzyżem.

Ten krzyż postawił wuj Tadeusz, gdy tylko zadaszyli na nowo dom. W podzięce dla Jezusa Pana Naszego, że rodzinę z zawieruchy wojny wyprowadził. Wiosną stroją krzyż kolorowymi wstążkami, ciotka przez całe lato wyplata wianki i zmienia co tydzień na błyszczących świeżą farbą ramionach, a u podnóża stawia słój z polnym kwieciem. Tego krzyża zazdroszczą mu wszystkie dzieciaki, błogosławieństwa Bożego czasem też, że u nich o głodzie nikt nie chodzi, a wszystko, co mają, dzielą sprawiedliwie, chociaż rodziny dwie i jak u innych mogłyby się kłócić o wszystko, to nie, w zgodzie żyją. Tylko czasem Adaś widzi, jak ciotka wujowi tłustszy kawałek mięsiwa wrzuci, kubek na mleko jemu największy stawia, skwarkami ziemniaki obficie polewa. Mama pochyła wtedy głowę i uśmiecha się do dzieci, przerzuca od siebie na ich talerze, po równo.

Ciotka jest rumiana i ruchliwa. Szybko zjada swoje, uprzęta talerz i z kubkiem herbaty siada przy mężu. „Jedz, Tadziu, jedz, kochany” – patrzy w milczeniu, jak wujo czyści talerze, skórką chleba wysusza dokładnie, a potem siorbie głośno herbatę, łyżeczkę palcem przytrzymując, na koniec bez słowa czapkę na głowę nasadza i wychodzi, stawiając ciężkie kroki.

– Ile to jest metr? – pyta Twarda. – Kto wie?

Adaś patrzy po twarzach. Nikt się nie wyrywa. Stoją przed szkołą, na wydeptanej suchej ziemi, z której porywy wiatru podnoszą kurz.

– No, co? Nikt nie wie, ile to metr? – naciska.

Adaś wie, betka, wujo mu dawno temu pokazał. Nie tylko to wie. Nawet zegar umie czytać. I ustawiać też.

– Nikt nie wie?

Adaś dużo umie, ale nie chce się chwalić. Znowu będzie, że nos nosi za wysoko, że mu go zara kto przestawi. Tak usłyszał kiedyś. No to niech kto inny powie.

– Co, żadna matka miarki krawieckiej nie ma? Żaden ojciec ciesielki nie robi, miarki nie ma? A centymetr ile, ktoś wie?

Adaś nie wytrzymuje, podnosi rękę.

– Ja wiem, psze pani.

– Jabłoński. No, dobrze. Bardzo dobrze. No to pokaż, ile to centymetr.

Adaś wystawia palec, pokazuje od góry tyle co paznokieć jego, albo co dwa palce, jak je razem ścisnąć.

– Dobrze – mówi Twarda. – Dobrze, Jabłoński. A metr ile, to nie wiesz?

Adaś czerwieni się. Głowę schyla, patrzy na buty, ale przecież wie, potwierdza.

– A, więc wiesz? No to pokaż.

Adaś rozstawia ręce szeroko. Pamięta, że nie najszerzej, tylko tak, o, jak wujo pokazał. Twarda uśmiecha się, kiwa głową.

– Dobrze. Widzicie? Metr. No, to wiecie już, ile to metr. Tu proszę, jest dokładniej. – Pokazuje na stalowej linijce. – Teraz zobaczymy, ile to ar. Słyszeliście kiedy tę nazwę? Ar? Ustawcie mi się tu w kwadrat taki. Po dziesięć metrów każdy bok.

I kiedy ona liczy dzieci, ustawia, mierzy, coś dzieje się za jej plecami, tumult, hałas, chwila ciszy i nagle wielki śmiech! Wszystkie dzieci jak jeden mąż pękają z uradowania. Twarda odwraca się. Na środku nieregularnego wielokąta, z którego usiłowała ustawić kwadrat, na ziemi leży Adaś Jabłoński. Czapka mu spadła, rozgląda się nieprzytomnie. Ktoś go popchnął? Wiedzie wzrokiem po roześmianych gębach. Albo to on sam,

mądrała, żarty sobie stroił za jej plecami, kto ich tam wie, dzieciary niewdzięczne.

Adaś dźwiga się na kolana niezgrabnie, podnosi na nią brudną buzię, jest w niej jakiś zacięty wyraz, rozgląda się po twarzach, znajduje czapkę, wstaje. Twarda podchodzi, ogląda policzek.

– Cisza! – krzyczy. Śmiech milknie. – Po lekcji doprowadź się do ładu, Jabłoński. Przemyj to.

Jesień nie spieszy się do Połap w tym roku. Ciepły wiatr nawiewa do klasy nitki babiego lata przez okna czekające na szklarza jeszcze od wiosny. Wypłowiwała zieleń zwleka z przejściem w rude linienie, jakby wstrzymała oddech, zapatrzyła się na leniwe żurawie. Adaś drga na dźwięk swojego nazwiska.

– Jabłoński, co nam opowiesz o widoku za oknem? Wstań, proszę. Niedobrze.

– No, Jabłoński, jaki będzie wynik? Czy może wolisz opowiedzieć o tym, co dzieje się na podwórku?

– Nie, psze pani.

Zza ramienia nauczycielki trudno przeczytać zadanie z tablicy, ale udaje się.

– Sto czterdzieści cztery, psze pani.

Twarda świdruje go wzrokiem.

– Jabłoński, ty potrafisz liczyć, ja wiem. To nie znaczy, że możesz robić na lekcji, co chcesz. Zadanie było inne. Siadaj, dwójka.

No nie! Nie! Znowu. Znowu to samo! Policzek rozbity, teraz dwójka... Mama, co powie mama? Dzwonek wdziera się w jego myśli i w ciszę

klasową. Nauczycielka kończy lekcję, zamyka dziennik. Szuranie ławek, brzęk sprzączek przy tornistrach, tupot nóg. Adaś się nie spieszy. Wychodzi ze szkoły w zamyśleniu. Kopie z zapalem leżący przy bramie kamień. Dlaczego znowu dwója? Odpowiedział przecież, policzył, dobrze policzył, jest dobry z matematyki, najlepszy. Lepszy od głupiego Antosia, lepszy od zezowatej grubej Eli, nawet od Janusza, od nich wszystkich, nie mówiąc już o wściekłym Heńku, chociaż on starszy, ledwo do stu zliczy. A Adaś potrafił liczyć do tysiąca, zanim oni wszyscy zrozumieli, ile to dwa. A teraz ojciec musi się dowiedzieć! Lufa! Jak on to mamie powie...

Trzeba powiedzieć. Elka i tak wygada swojej matce, a ta zaraz przyjdzie, niby to przypadkiem. Gruba jędza! Za matką przyleci uradowana, jeszcze z lizakiem w gębie, będzie nim machać, będzie chodzić w kółko jak durna jaka. Wujo mówi, że jej ciotka Jolka to zdzira. Co to zdzira? Nic dobrego chyba. Elka też na pewno zdzira jest.

Nie ma ochoty wracać do domu, jeszcze nie teraz. Pójdzie, powie, wszystko powie, ale później. Teraz może do Janusza. Albo nie, do dziadka Anzelma. Też nie. Lepiej nad rzekę, posiedzi, kamienie porzuca, pomyśli.

Nie zdąża. Za rogiem szkoły czeka on, ten ladaco, ten durny łobuz, gałganiarz. Heniek. Niech by go diabli! Wściekły Heniek mówią na niego. To on go popchnął, podciął mu nogę, podle, od tyłu, z zawiści, że sam gównu wie. Heniek, łajza! Starszy będzie z rok, większy o pół głowy, szeroki, najsilniejszy, mówią, i bić się potrafi, z każdym we wiosce wygra. Ale Adaś nie myśli o tym. Widok Heńka rozsierdza go. Rozpala w nim na nowo przygaszoną wściekłość, cały żar porannego wstydu, teraz jeszcze posolonego wstydem za dwóję. Odżywa upokorzenie, kiedy padł do nóg Elki, a dzieciaki jak na komendę w śmiech. Teraz on, ten drań, ta swołocz, siedzi tu z tymi głupimi mamlogami, z tą tępą zgrają potakiwaczy, jakby mówił: „o, zobacz, jaki ty ciapa, nic mi nie zrobisz!”, a w Adasiu coś nagle

ekspłoduje. Rusza jak maszyna, w biegu zrzuca plecak, leci te kilka kroków najszybciej, jak potrafi i całą nieokiełznaną energią kipiącej w nim zemsty rzuca się na Heńka. Ten ledwo zdążył wstać z pieńka, jeszcze wypluwa trawę, co ją międził w ustach, jeszcze nie skończył lekceważącego gestu, którym wskazywał Adasia, a już leci w tył, pod tym szalonym impetem traci równowagę... Upadają obaj, Adaś na wierzchu, Heniek pod nim.

Pół godziny później Adaś zamiast iść do domu skręca w las. Powtarza w myślach dziękczynne zdrowaśki. Dzięki Bogu, Jezusku, jak dobrze, że żyje Heniek. Żyje. Że nie zabił go tym skokiem, tym szaleńczym taranem. Co też narobił? Co narobił...! Serce nie chce się uciszyć. Leci. Mamusiu...

Skrótem do rzeki będzie niedaleko, brzeg gorszy, urwisty, ale toż nie idzie się kąpać, woda spokojna, nad wodą inaczej wszystko się myśli. Co tu zrobić, matka już się tyle martwi... Jak się dowie, to źle będzie, źle. Dwóją, a teraz bójka, krew, awantura... Kolacji nie da. Może by i dała, ale ojciec jutro wraca, to nie da, żeby ojcu powiedzieć, że karę już wymierzyła. Może i tak lepiej. Dobrze, niech nie da, niech ojciec pas wyjmie, co tam, nie pierwszy raz. Najważniejsze, Heniek żyje. Nie zabił go. Nie zabił. A jak żyje, to wyzdrowieje. Ale dlaczego, dlaczego to wszystko, dlaczego on...

W zamyśleniu kopie kamyczki leżące na ścieżce, przeskakuje wyrosłe w poprzek, kostropate jak żylaki matki ziemi, korzenie sosen, w złości uderza kijem o pnie, karczuje poszycie, przez chwilę jest odkrywczą nieznaną puszczy. Wraca na ścieżkę i nagle – staje osłupiały.

Noga! Na brzegu wydeptanego szlaku, tuż przed nim, leży nienaturalnie wygięta noga. Wzbierają w nim mdłości. Noga dziewczęca, w grubej pończosze i starym skórzanym pantoflu o przetartym czubku. Widok tak niespodziewany i piorunujący, że Adaś kamienieje. Po sekundzie wzrokiem

podąża w górę łydki, za kolano. Reszta ciała, a być może tylko owej nogi, skryta jest w wysokiej kępie. Adaś, drżąc, podchodzi do znaleziska. Ostrożnie rozgarnia kijem zarośla. Spośród gęstwiny prześwituje coś ciemnego. Tak, drugi but, a za nim łydka i kolano. Zza listowia, z głębokiego cienia spogląda para oczu, a jednocześnie dobywa się stłumiony krzyk, podobny bardziej do pisku małego zwierzątka. Adaś wzdryga się, puszczając przytrzymywany kijem gąszcz gałązek, które zwierają się na powrót i zasłaniają twarzyczkę. Chwila! On zna to spojrzenie. Podchodzi jeszcze raz, rozgarnia zarośla rękami. Dziewczynka z lasu. Ta, którą widział kilka tygodni temu i która znikła tak gwałtownie, jak się pojawiła. Teraz jej twarz jest brudna, policzki zasmarowane od łez i ziemi, oczy mokre i czerwone.

– Co tu robisz?

Dziewczynka milczy, opiera się na rękach i odpychając się piętą, usiłuje wciągnąć w zarośla dziwnie ułożoną nogę. Jej oddech jest szybki i nerwowy, szamocze się, w końcu znów wydaje okrzyk. Teraz Adaś widzi, że noga jest złamana. Stopa wisi wykręcona do wewnątrz, na środku łydki podnosi się dziwny guz, a pończocha nasiąka purpurą.

– Co się stało?

W odpowiedzi przerywane jęki. Dziewczynka znów podejmuje daremną próbę szamotania, zakończoną okrzykiem bólu.

– Złamałaś. Nie ruszaj, czekaj tu, pobiegnę po pomoc, trzeba to złożyć.

– Aaa! Aaaaaaa! – Ogłuszający wrzask z gardła dziewczynki nie jest tylko oznaką bólu. Adaś nachyla się, mała kręci głową przerażona, skamle głośno, chwyta go za rękaw. Ciągnie.

Adaś przenosi wzrok z puchnącej gwałtownie nogi na małą rączkę trzymającą jego koszulę, a potem na twarzyczkę, i w jednej chwili dociera do niego wprost z wielkich brązowych oczu ogrom lęku. Te oczy mówią,

proszą, błagają. O co? Dziewczynka kręci głową. „Nie”, ona mówi „nie”. Ona prosi, żeby nie liczył na nikogo. Prosi, aby działał sam.

Boi się ludzi?

Trzeba więc coś zdecydować. Adaś wciąga głęboko powietrze, tymczasem dziewczynka przymyka powieki, wzrok jej się mąci, uścisk dłoni rozluźnia, opada na plecy nieprzytomna. Adaś nie zastanawia się. Pamięta, jak to robiła mama, wojenna sanitariuszka, kiedy Janek Marcyniak złamał nogę. Mama jest najlepszym lekarzem, jakiego zna. Porzucony obok prosty gruby kij, którym rozgarniał zarośla, będzie dobrym usztywnieniem. Wstaje, kilka kroków w las i znajduje drugi, podobny, podkłada oba pod zwichrowaną łydkę, ściąga koszulę i po chwili wahania przywiązuje nią oba kije delikatnie do kolana i stopy dziewczynki. Gdy zagląda w zarośla, dziewczynka leży z zamkniętymi oczami.

Ale teraz trzeba się spieszyć i być ostrożnym. Adaś odchyła porządny wiecheć gałęzi na ścieżkę tak, aby zakryć łydkę. Za mało. Rozgarnia trawy, przynosi wielką kępę rosnącą opodal, umieszcza pod stopą i oddala się kilka kroków, ocenia efekt. Nogi nie widać. Biegiem rusza przez las. Biegnie bez ustanku, na ile stać jego ośmioletnie ciało. Gdy widzi przechylone ogrodzenie podwórza z drewnianymi zabudowaniami, zwalnia i podchodzi uważnie. To Podlesie: dziadkowy dom.

Podwórko wydaje się puste. Jednooki Dżek wyczuwa go, jeszcze zanim zbliży się na odległość rzutu kamieniem, szczeka radośnie i zaczyna dyszeć, oczekując porcji pieszczot, ale nie ma na to czasu. Adaś omiata wzrokiem studnię, drewnutnię, stodołę, kieruje wzrok na komórkę, drzwi są uchylone. Nie ma kłódki. Brzegiem lasu przechodzi pod ścianę, przeskakuje jednym susem na drugą stronę i wpada do komórki. Jest! Rower stoi z brzegu, teraz najlepiej by przerzucić go przez płot, ale ten jest za wysoki, a rower za ciężki. Ma podczepiony kosz na kółkach, w którym

dziadek wozi na targ kury i ogórki. Trzeba więc przez podwórze. Szparą w ścianie Adaś obserwuje: brama otwarta, część podwórza przed studnią pusta. Spokój. Wychodzi z komórki z rowerem, zagroda wydaje się opuszczona. Ale dziadek z pewnością gdzieś się tu kręci, jeśli go zobaczy, nie wypuści. Adaś do bramy ma jeszcze kawałek, zaraz wyjdzie z za szopy, będzie można zobaczyć jak na dłoni wprost z kuchennego okna, jak prowadzi wielki rower... Nabiera powietrza w płuca, jednym susem wskakuje i rusza z miejsca całym ciężarem ciała, stając na jeden, potem na drugi pedał. Rower rusza powoli, lekki chłopiec nie daje rady rozpędzić go szybko. Gdy dojeżdża do bramy, wzbudzając na podwórzu rwetes inwentarza, kątem oka widzi uchylające się drzwi domostwa i wysuwającą się postać dziadka. Chwilę potem skręca w kierunku lasu i słyszy jego głos.

– E! Stój! Stój! Złodziej!

Adaś przerzuca ciężar ciała z jednej na drugą stronę roweru, nabiera prędkości, przesuwa się wzdłuż ogrodzenia, ogląda na dziadka, ten, biegnąc do płotu, rozpoznaje go.

– Adam? Stój, dokąd, co ty...!

Ale on już wjeżdża w las, nie chce słyszeć, obciąża całym sobą pedały, pokonuje piaszczyste zakręty, zjeżdża ze ścieżki, brnie jagodziną i mchami. Gdy wreszcie dojeżdża do wzniesienia, musi zsiąść i poprowadzić rower do góry. Dziadek nie ma już szans go dogonić, nie wie, w którą stronę iść. Adaś dyszy ciężko, pcha rower, nie zatrzymuje się, prze do zagajnika, zaraz minie karmidło leśniczego, potem bagno. Rower jest ciężki, miękka ściółka spowalnia. W końcu Adaś wychodzi na ścieżkę i z daleka usiłuje dostrzec wystającą kępę zarośli. Jest! Opiera rower o najbliższe drzewo, rozgarnia gałęzie. Siedzi zasmarkana cicho, jakby na niego czekała. Już nie płacze, ale jej noga przybrała olbrzymie rozmiary.

– Patrz, mam rower. Musisz tam wejść, daj rękę.

Dziewczynka po chwili wahania wyciąga ręce i próbuje przysunąć się do Adasia, ale każdy ruch sprawia jej ból. Usiłuje przesunąć najpierw chorą nogę na bok, ułatwić pochylenie w przód i oparcie na zdrowej, jednak zarośla są gęste, a ból zbyt wielki. Adaś wskakuje między gałęzie, czuje, że haratają jego gołe plecy do krwi, ale nie patrzy teraz na to, ugniata nogami pędy, chwytając delikatnie pod kolanem dziewczynki jedną ręką, a kije podwiązane do kostki drugą i szybkim ruchem przekłada nogę na rozchylone listowie. Z gardła dziewczynki znów dochodzi krótki skowyt, z oczu płyną łzy, jednak chwytając Adasia za szyję i daje się delikatnie unieść, ciągnąc unieruchomioną nogę jak balast. Oddychają ciężko, od roweru dzielą ich trzy kroki. Adaś czuje na swym boku małą sakwę przytroczoną do pasa dziewczynki.

– No, dawaj, iii raz!

Dziewczynka próbuje podskoczyć, opierając się na Adasiu, on nie spodziewa się takiego nacisku i zatacza się. Odzyskuje równowagę.

– Iii dwa! Dobrze, damy radę, zobacz, oprzyj się tu, tyłem, tak, daj, podciągnę cię do góry....

Pupa dziewczynki ląduje na dnie kosza, nogi zwisają na zewnątrz, jednak rower jest teraz tak ciężki, że nie ma mowy, aby Adaś próbował na niego wsiąść. Z trudem odrywa go od drzewa, spogląda pytająco na dziewczynkę, a ona ręką wskazuje kierunek w las, w stronę wąwozu, na północ, gdzie rzadko się zapuszczają miejscowi. Dziadek mówił, że tam las jałowy od wsiąkniętej krwi, niebezpieczny, że był zaminowany i nigdy go nie oczyszczono. Że las za dużo widział, że kręcą się tam wszystkie wojenne duchy. Połapanie boją się min, boją się tego lasu, nie chodzą tam, nawet mówić o nim nie chcą. Ale nie Adaś. On się nie boi. Czego tu się niby bać, paproci? Wprowadza rower w rzadki sosnowy las, brnie pomiędzy drzewami, w kierunku wskazanym przez dziewczynkę. Słońce

przechyla się już na zachód. Ona wciąż pokazuje kierunek północny. Po godzinie–dwóch marszu Adaś czuje, że brak mu sił. Opiera rower o drzewo, siada na mchu. Mama na pewno zaczyna się niepokoić, powinien już dawno przyjść na obiad. Wyobraża sobie stojącą na stole misę z ziemniakami, polaną błyszczącą omastą, dzbanek mleka zsiadłego, ciotkę i wuja, roześmianą twarzyczkę Basi i usmolonego Zenka. Zapach ziemniaków, który poczuł w nozdrzach, napędza apetyt. Przełyka ślinę i otwiera oczy. Dziewczynka trzyma w wyciągniętej ręce pajdę chleba zawiniętą w ściereczkę.

– Dziękuję. – Adaś bierze od niej pajdę i siada z powrotem pod drzewem. – Ty nie?

Mała kręci głową i spogląda na nogę, na której brunatna od krwi pończocha rozdymana opuchlizną wydaje się już zastygłą skorupą. Chleb jest kwaśny i świeży. Pachnie chrzanem i jeszcze jakimś nieznanym zapachem, przywołującym ni to wspomnienie, ni to marzenie.

– Słuchaj, ty nie mówisz? – pyta, przełykając dobrze przeżuty kąsek.

Dziewczynka patrzy na niego wielkimi oczami, milczy.

– Boisz się?

Przechy ruchem głowy. Adaś zamyka powieki, opiera głowę o pień, żuje, stara się wyciągnąć jak najwięcej z każdego kęsa. Nie wie, dokąd idzie ani nawet dlaczego dał się w to wplątać, teraz jednak nie ma ochoty się nad tym zastanawiać. Kieruje nim głębokie przekonanie, że czyni dobrze, że jest właśnie tam, gdzie być powinien i wszystko, co robi dla małej, ma niewytłumaczalne, ale bardzo mocne uzasadnienie. Teraz tylko chwilę odpocznie, chwilę tylko na nabranie sił...

Otwiera oczy, chyba się zdrzemnął. Dziewczynka usnęła w koszu. Ogarnia go przejmujący chłód wrześnieowego popołudnia. Wstaje i rusza rower wsparty o drzewo. Dziewczynka budzi się, dotyka jego chłodnego

ramienia. Trzeba iść dalej. Las gęstnieje z każdym krokiem, nisko wiszące słońce daje coraz mniej światła, a chłód, mimo wyczerpującego marszu, staje się dotkliwy dla gołych pleców Adasia. Dziewczynka wierci się w koszu, sycząc co chwila z bólu, gdy porusza złamaną nogą, w końcu wyciąga zza pleców chustę i narzuca na jego ramię. On nie oponuje. Przewiązuje ją sobie przez piersi i w skupieniu ciągnie rower do przodu, nie wiedząc, ile jeszcze czasu to potrwa, jak daleko starczy mu sił. Boi się zapadającego nad obcym lasem wieczoru, ale obecność dziewczynki w tajemniczy sposób dodaje mu odwagi. Jest w jego rękach. Nie może jej zawieść, ona mu ufa. Daje mu to jakieś przedziwne poczucie siły. Uśmiecha się sam do siebie. Spogląda na nią czasem, a ona śledzi go czujnymi oczami. Uśmiecha się do niej, dodając i sobie, i jej otuchy. Za którymś razem, już w gęstniejącym zmroku, wydaje mu się, że widzi, jak jeden kącik jej ust unosi się lekko. I teraz, gdy znów kieruje wzrok w przód, pośród kniei ukazuje się światełko. Dziewczynka ożywia się, wskazuje drżący jasny punkt. Dom? Tu, w lesie?

Dochodzą do skraju lasu. W oknie chaty migocze płomień lampy. Adaś opiera rower o drzewo, podbiega do płotu, przeskakuje zwinnie i wali pięściami w szybę.

– Pomocy! Halo, jest tam kto?!

Podbiega do drugiego okienka, tłucze, ile wlezie.

– Proszę! Proszę! Jest tam kto!

Wtedy pierwsze okno uchyla się, wewnątrz ukazuje się okrągła twarz kobiety, z gładko zaczesanymi włosami. Spostrzega go i chowa się, zanim Adaś zdąży podbiec i zacząć tłumaczyć.

– Proszę pani! Przywiozłem dziewczynkę, ona jest ranna, potrzebuje pomocy, proszę pani!

Z wnętrza dochodzą wzburzone urywane głosy. Po chwili z hukiem wypada wysoki chudy mężczyzna, chwyta chustę przerażonego Adasia, przyciąga ją do góry. Poznał! Otwiera usta, ale Adaś wskazuje ręką na las. Mężczyzna podąża wzrokiem w tym kierunku i dostrzega oparty o drzewo rower z drobną postacią uwięzioną w koszu.

– Ada! – krzyczy chrypliwie i puszcza się biegiem. Jednym susem pokonuje płot i dopada dziewczynki.

Dotyka jej czoła, policzków, rąk, dziewczynka jęczy i szlocha. Mówi coś do niego! Więc ona mówi! Mężczyzna ostrożnie wyciąga ją z kosza, przebiega koło Adasia, nie zauważając go już. Tylko ogromne oczy dziewczynki spoglądające na niego przez ramię mężczyzny mówią wyraźnie: „Do widzenia”. Wie, że mu to mówią, choć widzi już tylko znikające w zmroku barczyste plecy i białe rączki na potężnej szyi.

Adaś czuje na ramieniu czyjąś dłoń. Kobieta, którą widział w oknie, prowadzi go do domu, sadza na krześle, ogląda pokaleczone plecy, obmywa chłodną wodą. Przynosi czysty ręcznik i białą koszulę. Ubiera go. Jest cicho i ciepło.

– Ja... ja... proszę pani, ja muszę do domu, ja... – Adaś próbuje opowiedzieć wszystko, co przeżył, co widział, ale nie potrafi. Kobieta uśmiecha się.

– Wiem, Adaś – mówi.

Skąd wie, jak on ma na imię? Adaś jakoś nie znajduje odwagi, by zapytać. Kobieta tymczasem odkrywa stojący na kuchni gar, zanurza w nim łyżkę i nalewa gęstej zupy. Stawia przed nim parujące, smakowite danie, po czym wychodzi. Jedząc, Adaś słyszy odgłosy z sieni, ktoś wchodzi, drzwi trzaskają, ktoś rozmawia, znowu trzask drzwi. Wyskrobuje resztki zupy z talerza.

Przyjemne ciepło rozlewa się po jego ciele. W drzwiach staje wysoki mężczyzna.

– Chodź – mówi niskim, ochrypłym głosem. – Zawiozę cię do domu.

– Gdzie ona jest? Ta mała... Co z nią? Wyzdrowieje? Co z nią będzie?

– Nic jej nie będzie. Aby poleży. Noga musi się zejść.

Adaś podąża za nim, na schodkach przypomina sobie jednak o rowerze.

– Rower! Muszę zabrać rower! – mówi i skręca w las, gdzie go zostawił. Mężczyzna łapie go łagodnie za ramię, wskazuje furę stojącą na drodze. Na wozie w świetle wschodzącego księżyca połyskuje rama roweru. Adaś wskakuje na przygotowany obok koc. Owija się nim i opiera o burtę. Koń rusza, tuż nad horyzontem ogromna pomarańczowa tarcza księżyca spogląda na świat z niezmaconym spokojem. Powolne kroki konia kołyszą wozem. Adaś nie wie, kiedy zapada w sen.

Gdy otwiera oczy, fura zatrzymuje się przy znajomej kapliczce u wjazdu do Połap od strony Białej Sielskiej. Księżyc tkwi na niebie dokładnie w miejscu, w którym Adaś widział go, zasypiając. Mężczyzna zdejmuje z wozu rower. Adaś przeciera oczy, rozkopyje się z ciepłych połów koca i na klęczkach przysuwa do brzegu. Mężczyzna zdejmuje go jak małe dziecko. Wtedy staje naprzeciwko, kładzie wielkie dłonie na jego ramionach, pochyla się i patrzy wprost w oczy, długo, z jakąś siłą.

Ta chwila pozostanie w pamięci. Wszystko, co zatrze się w niej, wymiesza i zblaknie, będzie mogło zostać przywołane dzięki białej koszuli, księżycowi i wielkim dłoniom mężczyzny na ramionach chłopca.

Mężczyzna wsiada na wóz, aby za chwilę zniknąć w czarnej czeluści drogi. Adaś nie słyszy nawet oddalającego się trzeszczenia wozu ani stuku kopyt. Panuje absolutna cisza. Stoi tam jeszcze i szuka znaków obecności wozu, ale ten, tak jak ślad po biegnącej dziewczynce i po tajemniczym woźnicy, po prostu nie istnieje. Pora podnieść ciężki rower i wrócić do

domu: do trzeciej zagrody we wsi, tej z wielkim drewnianym krzyżem tuż za płotem. Widać już dom. Wszystkie okna są jasno rozświetlone. Drzwi otwarte na oścież, wuj szykuje latarnie do nocnych poszukiwań Adasia, gdy ten staje w bramie w lśniącej w świetle księżyca białej koszuli, prowadząc rower dziadka. Mama wybiega ze szlochem, Adaś pozwala się jej długo przytulać. I tak nie ominie go kara, tego jest pewien.

Budzi się przed świtem i natychmiast stają mu przed oczami wydarzenia poprzedniego dnia. Szkoła, Heniek, dziewczynka, rower, las o zmroku, domostwa nieznannej wsi, rosły mężczyzna i wielki wschodzący księżyc. Czy to wszystko wydarzyło się, czy tylko śniło? Przez szpary w drzwiach wpadają plamy światła z tętniącej już porannym życiem kuchni. Ciotka wchodzi, wychodzi, trzaska drzwiami, wujo ciąga kapciami po podłodze, z podwórza dochodzi szcęk baniek, poszczekiwania, muczenie krów... Adaś siada na łóżku, patrzy na pogrążony w mroku pokój, na śpiącą mamę, obok niej zarysy małych ciałek Basi i Zenka. Wreszcie dostrzega jaśniejącą biel porzuconej na krześle koszuli. To nie był sen. Podchodzi do okna. Na wschodzie jarzą się pierwsze brzaski nadchodzącego dnia. Ubiera się w pośpiechu. Zdąży przed szkołą odstawić dziadkowi rower. Ojciec przyjedzie dziś, nie obędzie się bez lania. To nic, ważne, żeby już z rowerem było załatwione, a dziadek spokojny. I tak matka będzie chciała wiedzieć, będzie pytać. W ostatniej chwili wraca zabrać koszulę: dobry pretekst, aby odwiedzić dziewczynkę.

– Adam?

– Tak, mamusiu?

– Dokąd się wybierasz?

– Do dziadziusia, rower odstawić.

– Rower? A, tak, rower. Dobrze.

Adaś podchodzi do drzwi, naciska klamkę.

– Adam?

– Tak, mamusiu? – Odwraca się do mamy.

– Musimy porozmawiać. I skąd masz koszulę?

– Tak, mamusiu, wszystko dla mamusi opowiem, ale jak wrócę.

Dziadziuszek czeka na rower.

– Wróć od razu po szkole. Tatuś dziś przyjeżdża.

– Wiem – Adaś ścisza głos. – Będę zaraz po szkole.

– Czekaj, dam ci śniadanie. – Mama zaczyna uwalniać się z objęć śpiącego jak kłoda Zenusia.

– Nie trzeba, u dziadziusia zjem.

W odpowiedzi słyszy ciche westchnienie mamy.

Dziadek krząta się po obejściu, karmi kury. Adaś zsiada z roweru, jedną ręką uwalnia drucianą pętlę, która trzyma drewnianą furtkę i wprowadza rower. Dziadek rzuca mu spojrzenie i wraca do karmienia kur. Adaś odstawia rower do komórki i wychodzi na podwórze. Dziadek kończy sypać ziarno i wystukuje resztę drobin z sitka.

– Dziadziuszek, odstawiłem rower.

Dziadek nie reaguje. Idzie niespiesznym krokiem do sieni, uchyla drzwi, kładzie sitko na ławie. Wraca, kieruje się do studni, mijając Adasia bez słowa.

– Dziadziuszek, niech się dziadziuszek nie gniewa, ja naprawdę musiałem go pożyczyć.

– Toś mógł powiedzieć. – Wreszcie dziadek zatrzymuje się i odwraca do Adasia.

– Ale czasu nie było. Ja szybko musiałem.

– Szybko, szybko, co szybko! Jak złodziej zabierać? Jak ja się wystraszył! Szybko, durak, co nagle to po diable. U Hajduczyka prosię bili.

– No widzi dziadziuś. To by mi roweru nie dał, jak bym poprosił.

– To bym nie dał! – wykrzykuje dziadek gniewnie i odwraca się do Adasia. – A ty cudzego masz nie brać, rozumiesz?!? Nie brać cudzego, choćby cię palili ogniem, nie wachaj cudzego, boś nie złodziej! Nie twoje, to wara!

Adaś przestraszony patrzy na dziadka, jak wymachuje rękami, jak twarz ścina mu się gniewem, głos drży, usta zwięzają, gdy wypłuwa „wara”, jak do obcego. Nie, nie zna takiego dziadka, boi się go. Bardzo się go boi. To jakiś inny, cudzy dziadek.

Adaś kuli ramiona, stoi i nie próbuje nawet nic mówić. Zrobił coś strasznego, nie może tego cofnąć. Chce tylko, żeby dziadek już przestał, ale boi się ruszyć, wydać głos. Czeka, aż burza się przetoczy. Musi się przecież skończyć, jak wszystkie burze. Dziadek odwraca się, odchodzi. Można nabrać powietrza, coś powiedzieć...

– Ja nie chciałem zabrać, ja tylko pożyczyłem, ranną dziewczynkę wiozłem...

Patrzy za dziadkiem, jak ten wchodzi do domu i zatraskuje za sobą drzwi. Rozumie już, że śniadania nie będzie. Dobrze, że w szkole dają mleko i bułkę, odgłosy z jego głodnego brzucha słyhać będzie w całej klasie.

Wychodzi z zagrody, drzwi domu dziadka pozostają zamknięte.

W szkole Adaś rozmyśla. Musi tam wrócić, sprawdzić, co z tą małą, oddać koszulę. Potrzebuje roweru. Od dziadka już nie pożyczy, o nie. We wsi rower ma jeszcze sołtys Hajduczyk, wdowa Lucyna Fiedorczykowa i tata Elki, ale tego nie może brać pod uwagę. Liczy szybko. Pchając dziewczynkę, szedł długo, będzie ze trzy, gdzie tam, cztery godziny. Może dłużej. Jakby jechał na rowerze bez kosza, sam, to i w godzinę dojedzie. Mama się nie dowie. Tatuś przyjeżdża zawsze popołudniowym osobowym do Szepietowa. Zanim dojedzie wozem, Adaś zdąży wrócić i jeszcze pomóc mamie z Basią i Zenusiem, pokąpać, ubrać ładnie. Fiedorczykowa może rower pożyczy, jak jej mleka świeżego obiecać. „Pójdę, poproszę” – ma już plan, zadowolony uśmiecha się do siebie i w tym samym momencie słyszy powtórzone z naciskiem swoje nazwisko. Twarda, matematyczka o wiele znaczącym nazwisku Porucznik, stoi nad jego ławką. Znów go przyłapała, o, Boziu, niedobrze.

– Jabłoński, co się z tobą dzieje, chłopcze?

Jej ręka nieubłaganie podąża w kierunku jego ucha, łapie i pociąga do góry, mocno, aż Adaś syczy z bólu. Podnosi go z ławki, wygiętego w łuk, prowadzi do tablicy, tam wreszcie puszcza stalowy uścisk. Adaś pośpiesznie rozciera ucho.

– Wystaw ręce.

Adaś posłusznie wyciąga ręce przed siebie. Wtedy na palce spada drewniana linijka Twardej. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. I druga ręka. Gdy Porucznik kończy, po policzkach Adasia płyną łzy, których nie uratował przed ich, przed jej oczami. Tylko mocno zaciśnięte zęby nie pozwalają twarzy drgnąć. Nie da im tej satysfakcji. Wraca na miejsce.

Palce pieką, Jezusku, jak strasznie pieką.

Lucyna Fiedorczykowska, matka trójki wiecznie zasmarkanych bachorów, smagła czerstwa kobieta, owdowiała przed trzema laty, zbyt łatwo daje się przekonać kanką mleka obiecaną po rannym udoju. Adaś jeszcze nie wie, jak to zrobić, skąd ją zdobędzie. Bierze rower ze stodoły z ciężkimi wrotami, które pcha, napierając ciałem. Przez szparę widzi, jak z domu Fiedorczykowej ktoś wychodzi, wysoki, mocny chłop... Toż to wuj Tadeusz! Bez czapki, przygląda włosy i poprawia spodnie. Razem z ciotką Teresą pomagają wdowie Fiedorczykowej, odkąd została sama. Adaś coś pamięta z pogrzebu Fiedorczyka, komentarze, że zamęczyli chłopca. Zaraz, ale czy wuj nie miał w pole iść? Tak czy siak, lepiej, żeby go nie zobaczył. Adaś nieruchomieje. Do wuja podbiega Fiedorczykowska i coś mu mówi, a ten spogląda w kierunku stodoły i – o dziwo – nie podchodzi wcale do Adasia, tylko chowa się na powrót w sieni. Adaś nie czeka, aż ponownie się pojawi, tylko szybko wyprowadza rower i rusza prosto w las, do ścieżki, a potem na północ, przez rzadki sosnowy zagajnik, jak wczoraj. Z siodełka nie sięga do pedałów, jedzie więc na stojaka, naciska mocno, posuwa się do przodu męczącym tempem. Czasem musi zejść – w gęstej jagodzinie i mchu lub gdy napotyka butwiejący pień. Rozgląda się czujnie, wydaje mu się, że rozpoznaje sosnę, pod którą jadł wczoraj chleb. Tak, małą zostawił w koszu tam, naprzeciwko. Teraz z sosnowego las przechodzi w mieszany, zaczynają się potężne dęby, przemieszane z brzoźami i bukami, gdzieś przetkane jodłą. Potem poszycie gęstnieje i w końcu nastaje głęboki bór, na pewno ten sam, w którym wczoraj dojrzał światło w oknie... Jednak ów splątany, gęsty las nie kończy się płotem żadnej zagrody. Nie ma żadnej drogi, która musi przecież do wioski prowadzić. Las na powrót przechodzi w rzadki zagajnik. Adaś spogląda w niebo, słońce schodzi na zachodnią stronę. Ogarnia go chłód popołudnia. Nie może zrozumieć. Wioska musi gdzieś tu być. Może skręcił trochę na wschód?

Błądzi, próbuje zmieniać kierunek, najpierw w stronę słońca, potem zawraca i w przeciwnym kierunku. Porusza się nerwowo i chaotycznie, trwa to jego szamotanie z lasem długo, tak że słońce tymczasem słabnie i opada.

Wtedy przypomina sobie o mamie, o tatusiu, o obietnicy. Staje pośrodku niewielkiej polany, zatacza wzrokiem koło, na koniec zamyka oczy i mówi sobie w duchu, że nie śnił, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Zwraca rower na południe i jedzie ile sił w nogach. Gdy już ledwie skrawek słońca wygląda zza horyzontu, rzucając pomarańczowe paski światła na kolorową ściółkę, wypada na muskane wieczorną bryzą łąki, aby po chwili dojechać do urwiska i wijącej się poniżej rzeki. Jedzie wzdłuż brzegu aż do znajomych zakoli Nurca, odbija na powrót w las i dociera do domu już o szarzejącym zmroku. Rower chowa w stodole. Podchodzi do drzwi sieni, tuż przed schodami dostrzega rower dziadka oparty o ścianę. Naciska kłamkę powoli, nabiera powietrza w płuca. Obawia się widoku, który zastanie. Obawia się rodzinnego sądu nad sobą. Zagląda z sieni przez szybkę w drzwiach.

W kuchni przy stole siedzą rodzice, wujostwo i dziadek. Gdy zzuwa buty, czuje, że jego nogi słabną. Głód, zmęczenie, a teraz jeszcze to. Wchodzi do kuchni: tu dzieje się coś nieoczekiwanego.

Mama rzuca mu łagodne spojrzenie, tatuś podnosi głowę i uśmiecha się ponad ramieniem ciotki Teresy, Basia i Zenuś podbiegają do niego radośnie:

– Adaś, Adaś, wieś co, do miasta jadziem, do nowego domu!

– Do miasta, do miasta! Będziem w bloku mieszkać, wiesz? Adaś, Adaś! – Dzieci, jedno przez drugie, podskakują i wykrzykują dziwne nowiny.

Adaś nie rozumie, co się dzieje, patrzy na mamę, na jej pogodną twarz, na tatusia, który wstaje od stołu i przygarnia go do piersi.

– Jak to? – pyta, gdy uścisk słabnie.

– Tatuś mieszkanie dostał, od uniwersytetu. Możemy jechać do Warszawy, nawet jutro – tłumaczy mama. – Nie będziemy już ciężarem dla cioci i wujka. – Uśmiecha się do ciotki Teresy.

Teresa odpowiada tym samym, dotyka ręki wuja Tadzia. Nikt nie myśli o spóźnieniu Adasia, nikt nie liczył godzin do jego powrotu.

– Mieszkanie? W Warszawie? – Adaś siada przy kuchni na zydlu, którego ciotka Teresa używa do obierania ziemniaków. Dopiero teraz dociera do niego nowina, z którą przyjechał tatuś. Próbuje objąć myślą ogrom wynikających z niej konsekwencji. Nagle znika obsesyjna myśl o tajemniczej dziewczynce, zagubionej wsi, wozie nocną porą i księżycu. Miasto! Wielkie, rojne miasto, z samochodami, blokami, fabrykami, o których uczył się w szkole. Z szerokimi jasnymi ulicami i sklepami.

Jedzie do miasta.

31 SIERPANIA 1971, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Sekretarz opadł z sił. Czy naprawdę nie spodziewał się tego? Czy nie oczekiwał przez te wszystkie lata, kiedy niezłomna wiara w ostateczne zwycięstwo wiodła go krętymi ścieżkami niezliczonych środków ostrożności? Przecież wiedział, czuł gdzieś pod skórą, że pewnego dnia wszystko się wywróci, że choćby kupił miłość całego powiatu, znów przyjdzie tamten jeden zimny wieczór i okryje go mrokiem wstydu i nienawiści. Tego w gruncie rzeczy bał się najprzeróżliwiej i jednocześnie oczekiwał najmocniej.

A zaczęło się dawniej, dużo dawniej, kiedy to Tadek Stawirej wyjechał do szkół, jak planowano. Chowali się razem, syn stajennego i syn pański. Jedyne przyjaciel, za którego duszę by oddał. Robiłby mu za podnózek, książki za niego nosił, posługiwał... byleby jechać z nim. Widział jego

twarz po nocach. Jak zawsze dotychczas, był gotów wziąć na siebie każdą winę, każdą karę, którą Stawirej miał wymierzyć synowi. A teraz Tadek w szkolnym mundurku co rano do szkoły stąpał po miejskim bruku, a on został w połapskim błocie.

Miał czternaście lat. Rok wcześniej przyszło mu zastąpić tatusia, który umarł nagle, we śnie. Władek miał odtąd być opiekunem mamusi i Mariankowi. Na stajennego się nie nadawał, pomagał czasem we dworze, ale drobne to były zarobki, bo i Stawireje już nie tacy hojni byli jak pierwej. Druga zima od śmierci tatusia zaczynała się strasznie: byli głodni. Zaczęli być głodni jeszcze przed świętami. Władek wiedział doskonale, że najważniejsze, to nie pokazać nędzy.

– Ludzie jak nędzę zwęszą, to zaraz zaczną pomiatać – mówiła matka. – Zaraz ty dla nich ścierwo jakie, o, jak nie przymierzając, Kobusy. Resztę łachów z karku ściągają, boś już na śmierć przeznaczony.

Kobusy byli głodni zawsze. Tak już ta rodzina miała. Rodzili się i umierali co rok, chude, blade dzieciśka, marne, szare kobieciny, żyłaste, słabowate chłopcy.

– O, patrzaj, idzie jedne z drugim! Drzwi zamykaj, co by toto nie wlaźło! Ubłoci, zeżre co na kuchni, a „dziękuję” nie powie. Tylko wiecznie głodne i głodne, nie nastarczysz – sarkała matka i zamykała drzwi, aż pukanie ustało. Ścierwo odchodziło całą rodziną, wstrętnie ciągnąc nogami, marne jak zeschnięta trawa. Żeby choć próbowali, żeby zachowali odrobinę dumy, siły. Najmniejszy, Romek, obejrzał się jeszcze, Władek schował się za zazdrostką. Ot, gnojek, jaki ciekaw.

A teraz oni byli głodni. Marianek najgorzej. Jak te Kobusy.

Ale była jeszcze ona. Myśl o niej pozwalała Władkowi zapomnieć o wszystkim: o szkołach w Mazowiecku, o Tadku, o Stawireju i nawet o głodzie. Miała na imię Bluma. Była starszą z dwóch córek młynarza

Koziola. Nie byłby zwrócił na nią uwagi, bo nie włączył się po żydowskiej części wsi, gdyby nie Marianek. Władek przyuważył go raz czy drugi pod płotem wiatraka. Marianek siadał na kamieniu po przeciwnej stronie drogi i gryząc źdźbło trawy, rzucał w kaczki małymi kamyczkami. Aż go Władek tam pewnego razu znalazł.

Popołudnie było przejmująco lodowate i mokre. Mariankowi nogi urosły tak, że nie chciały wchodzić w stare buty i kiedy nastąpiło zimno, po cichu podbierał najlepsze w domu, oficery po ojcu. Matka zbiera się jechać do miasta – a butów nie ma. Władek latał po wsi, szukał, aż zerknął pod płot Koziolów. A to gnojek! Marianek w ojcowskich oficerach upapranych po cholewy i w tatusiowym fufraku siedział na kamieniu wgapiony w młynarskie podwórze. Władek już miał na niego huknąć z całej pary, kiedy drzwi domostwa Koziolów głośno się roztworzyły i wprost z gorącego parującego wnętrza wybiegła na podwórze rozgrzana dziewczucha. Miała bujną urodę po matce, czarne lśniące włosy luźno zebrane z tyłu, rozpalone policzki i ten cudownie okrągły biust, falujący ponad skąpym dekoltem białej koszuli, której podwinięte rękawy ukazywały silne ramiona... To ten biust przykuł uwagę Władka. Zrozumiał w jednej chwili, dlaczego Marianek wystrojony po pańsku czeka godzinami na ten właśnie moment otwarcia drzwi.

Bluma jakby wiedziała. Rzuciła Mariankowi spojrzenie i jej twarz z rozmigotanej śmiechem zmartwiała nagle dumnie uniesiona. Ciało Władka zastygło jak wmurowane w ziemię. Dziewucha chlusnęła mydlinami w kierunku Mariana: „a kysz!”, jak matka do Kobusów. Jakby chciała tymi mydlinami zmyć wszelki ślad po Marianku, po jego tatowych oficerach i nędzy.

Władek rozmyślał wieczorem długo, co było straszniejsze: te mydliny, czy to, że nie mógł przestać o niej myśleć. O tym, jak zakręciła balią, jak

zafalował jej biust, kiedy się nad nią wychylała, jak podniosła na Marianka wzrok i dumnie zadarła brodę, jak ta broda, ta szyja musiały pachnieć ciepłymi mydlinami i kołaczem, który młynarze piekli co tydzień.

Zabronił Mariankowi siadać pod młynem Koziółów. Na wszelki wypadek dla potwierdzenia zakazu sprzął go porządnie, żeby głupie pomysły gówniarzowi po głowie nie łąziły, tak, że przez dwa tygodnie sińce mu z pleców nie zeszyły. Po czym sam zaczął tak układać sobie dzień, aby jak najczęściej koło zagrody Koziółów przechodzić. Nie za szybko, powolutku. Jeszcze wolniej. Albo i przystawał na trochę. Przysiadał na kamieniu Marianka...

Nie raz jeszcze pomyślał, ba, od tamtego popołudnia był pewien, że pewnego dnia to się zmieni, świat się odwróci i to Bluma zaskomle u jego drzwi o pomoc.

2. O POWROCIE I POŻEGNANIU

Kwiecień 1971

Tamto wspomnienie, rozbłysk radosnego oczekiwania zmian, nadziei na nadchodzące jutro, utkwilo na zawsze w gwarnej izbie ciotki Teresy, zamazane i przytłoczone, prawie już nieistniejące pod sekwencją wypadków, które nastąpiły jeszcze tej samej nocy i kolejnego dnia, i wszystkich następnych, przynoszących zaskakujące obrazy Warszawy i jej ruin, szerokich ulic, ciągnącego nimi życia. Wydarzyła się więc Warszawa, wydarzyło się wszystko, czego nie mogło nie być, abym ja mógł znaleźć się znowu tutaj. Wydarzyłaś się ty, największy skarb.

Skrećam w pole, wyłączam silnik. Przede mną ostatnia prosta na drodze do Połap, obsadzona topolami strzelającymi w niebo błyskotliwym szumem, z widniejącą gdzieś ponad nimi wieżycą połapskiego kościoła. Nad polami szaleją skowronki. W oddali brzeg lasu faluje głaskany delikatnym wiatrem. Zachłanna kwietniowa zieleń wpełza na pnie, okrywa gałęzie pleśnią listków, mąci surową szarość drzew. Nie wiedzieć czemu, lubię te krajobrazy.

Opieram się o maskę Syreny 100, zapalam Klubowego z paczki wożonej na nie wiadomo jaką okoliczność w schowku, choć w zasadzie nie palę. Mama staje obok. Zdejmuje wielkie ciemne okulary i zamyka zapuchnięte oczy.

– Zawsze tu wracałam do siebie – mówi, nie podnosząc powiek. – Nie wiem, jak będzie bez dziadka. To już nie to samo. Zostałam sama. – Broda jej drży, ale zaraz się opanowuje.

– Masz siostrę – rzucam.

Kiwa głową. Wzdycha.

– Wiesz, że w zeszłym roku rozebrali chlew? Nie byłeś tu kilka lat.

– No, od matury chyba. Nie, źle, byłem przecież. Na studiach już, ze dwa razy. Nawet raz na imieniny dziadka. Zaraz powiesz, że powinienem był częściej.

Nie, nie komentuje.

– Wyłożyli podwórze płytami, żeby się w błocie nie taplać.

– Nareszcie.

Wiejski syf, norma. Nie do zmycia, nie do wymięcenia. Zwierzęta capią, przywykłem jako dziecko, błoto, kiedy tylko popada, i kurz, kiedy sucho... I to wrażenie brudu, oblepiającego, wszechobecnego. Naturalnego.

– A do stodoły garaż duży wuj dobudował, że może Olek po technikum samochodowym warsztat założy.

– Wuj to wymyślił czy Olek?

Mama otwiera oczy.

– Jakiś ty się mądry zrobił, doktor, patrzcie go! Żebyś mi przy wuju z jaką głupotą nie wystrzelił.

Wgniatam peta w piach. Denerwuję się? Przetrwać to, tyle chcę. Basia powinna już być u ciotki. Ojciec przyjedzie z Zenkiem pociągiem, jutro. Trzeba wyjechać po nich na stację. Jak mama to zniesie? Ostatnio widzieli się dwa lata temu, na rozprawie. Mama dochodziła do siebie miesiącami, praca trzymała ją przy zdrowych zmysłach. I jeszcze Teresa. I dziadek.

Mama różni się od nich dwojga. Teresa jak dziadek Anzelm: praktyczni, twardzi, ludzie świtu. Zanim słońce pokaże się w oknie, już ogarnięte obejście, soki wyciśnięte z każdego kwadransa co do sekundy. Dzień po dniu, podług zadań i rytmu pór jak świętości. Do siódmej oporządzone zwierzęta, potem obejście i ogród. Barłogi pościelone, pierzyny powietrzone, piętujące się na łóżku przykryte kolorową narzutą po prababci Anieli. O dziewiątej śniadanie, porządne, jajeczne i serowe. Parujący talerz obiadu o jedenastej pięćdziesiąt dziewięć. Codziennie. O szóstej ciepła kolacja czekająca na pachnącego wiatrem i słońcem wuja. O dziewiątej Apel Jasnogórski, a po nim ciotka klęka oparta o łóżko, odmawia półgłosem kompletny pacierz, przerywając, aby krzyknąć od czasu do czasu coś do Olka. Tylko tu się różnią. Różnili. Dziadek nie klękał w ten sposób. Dziadek szedł do lasu.

Godziny wyznaczają bieg życia. Ludzie uwikłani w to regulowane mechanizmem kółek zębatach życie bez zegara mogą zagubić porządek rzeczy. Czy gdyby wskazówki nagle zemdlały, zwiotczały i odmówiły pracy, poszły spać, spływając ze stołu, to Teresa nadal wiedziałyby, jak się w rzeczywistości poruszać? Wyobraźnia maluje zegar, ten w kuchni, nastawiany co niedzielę podług programu pierwszego Polskiego Radia, który zaczyna nagle zwisać bezwładnie jak kawał materiału. Zwalnia, zarzuca cykanie, zapada w smakowitą drzemkę. Zagubiona i bezbronna w beczasie Teresa zastyga z naręczem rabarbaru w otwartych drzwiach z sieni, w pół kroku, jakby wraz z ustaniem cykania zniknął sens biegu za życiem.

Zupełnie inna jest mama, w dzieciństwie łajana, wyzywana od legatów i ciortów. Ukochana i hołubiona. Niesforna, zapominalska i wiecznie spóźniona. Szczęśliwa i rozmemłana. Pociecha i udręka. Jak one mogły się

dogadać z ciotką? Tamta zawsze przygotowana, sumienna, zorganizowana. A ta lekkoduch i fantastka, dzika i zagubiona, nie zauważała istnienia czasu.

A jednak potrafiła: z powstańczej Warszawy wyprowadzić męża na Pragę, a stamtąd z rosnącym brzuchem na piechotę do Wyszkowa. Przez dwa tygodnie szli, podjeżdżali, spali w stodołach, pod gołym niebem, w kościołach. W październiku doszli do Połap i zapukali do drzwi zamężnej od kilku miesięcy Teresy. Otworzył im ledwo znajomy z dawnych czasów mężczyzna. Mama skojarzyła Tadeusza Borka. Zza jego pleców wyjrzała Teresa z ubielonymi mąką rękami.

I znów tu jestem. Dobrze znana sień dziadkowego Podlesia. Na ławie przy drzwiach sito do karmienia kur, na wieszaku kufajka, pod nią para gumowców. Dziadek zaraz tu wejdzie, założy je, pójdzie do kur...

Bzdura. Nigdzie już nie wejdzie.

Wewnątrz tłoczno. Kobiety, dużo kobiet. Znam ich rysy, pamiętam niektóre twarze, ale nazwiska...? O, tę znam. To Twarda, Janina Porucznik, moja matematyczka. Straszna. A to żona gajowego. Tu matka Elki... Tymińska. A to Lucyna Fiedorczykowska, przyjaciółka ciotki, prawie jak siostra. Siedzą, modlą się, czuwają. Zmieniają się przy zmarłym, wychodzą do dziadkowej kuchni, klarują rosół na jutrzejszą stypę, wymieniają wypalone świece, kroją warzywa na sałatkę. W kuchni rzucają krótkie komunikaty, polecenia. Czasem która usiądzie, westchnie, wspomni Anzelma. Poszukaj ziela. Miskę daj. Gdzie nóż.

Zapach rosołu i przyciszone głosy.

Dziadek leży w drewnianej skrzyni, na białej poduszce, biała twarz, szarawe dłonie splecione na piersi, różaniec. Nauczył mnie jeździć

rowerem. Grać w karty. Dawać szewskiego mata. Czytać. Rozpoznawać ptaki. Pływać w rzece. Łowić raki. Był całym moim dzieciństwem.

Był.

Wśród intensywnej obecności tych wszystkich zaprzątniętych obrzędkiem kobiet śmierć jest tylko jednym z minionych faktów. Wcale nie różni się od innych wydarzeń, tylko ludzie widzą w niej koniec. Na jej wspomnienie, w jej obecności, stają się mali. Uruchamia się fabryka atawistycznych reakcji, rusza mieszanina hormonów, chemia trzewi, rozrywanie wiązań molekularnych atomów w biologicznie czynnych neuroprzekaźnikach.

Lęk. Zimne ciarki. Próbuje wyłączyć to, złapać dystans. Nie daj się, stary, to tylko pobudzenia w sieci neuronalnej, w najgłębszym, najbardziej prymitywnym zwierzęcym mózgu. Śmierć rodzi mieszaninę poczucia skończoności i szacunku dla jednorazowości i nieodwołalności. I przerażenie. Bo ja przecież kiedyś też. Więc cicho, więc z szacunkiem, bo potem mnie. Bo kiedyś my wszyscy.

W pokoju ciche modlitwy, szloch, woskowe rysy dziadka. Kobiety wierzą, że to nie on, że to tylko truchło. Wierzą w jego dwuczłonowość, dualizm, w energetyczną duszę i mineralne ciało. Powtarzają codziennie swoje *credo*, w świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. I chyba wierzą, że to ciało któregoś dnia znowu wstanie, wyjdzie z każdego robaka, bakterii i rośliny, które zaczerpną teraz z niego energię do swoich niezbędnych żyć. Wierzą, że siła zbawienia pozbiera i zsumuje energię wszystkich tych żyć i połączy na powrót pierwiastki w związki, związki w substancje, substancje w materię organiczną, w krew, mięśnie i szkielet, w tętniące komórki istoty szarej, pobudzi serce impulsem z dłoni Wszechmogącego i on zmartwychwstanie. I one też. I będą się cieszyć życiem, od tej pory wiecznym. Cóż to jest, ta

wieczność. Nie próbują objąć nieskończoności, nawet wyobrazić sobie niemożliwego. Umysł nie ogarnie.

Czy liczą, że zmarły Anzelm im podziękuje? Że będą kiedyś znów szczęśliwie żyć w Połapach, ze swoimi krowami, kurami, polami, skowronkami i ze sobą nawzajem? Odwiedzać się i plotkować?

Cierpienie rozgrywa się w najbliższych. Przy trumnie ciotka Teresa z twarzą schowaną w dłonie. Obok niej mama, oparła nogi o szczebel krzesła siostry, objęła kolana. Drży, łka, hamuje potok uczuć. Bo one wszystkie tu. Bo szacunek, bo zmarły.

Nie chciałem tu być. To nie moje życie, to jakieś cudze przeżycia. To się nie dzieje, nie może. Jakby mnie to nie dotyczyło. Myśl: może powinienem wzbudzić w sobie coś, jakąś tęsknotę, żal? Czy jestem pusty? Bezduszny? Dziadek tu przecież w jakimś sensie jest, w każdym przedmiocie, meblu, w bałaganie na kredensie, w papierach na parapecie są jeszcze jego odciski, ciepły zapach dziadkowych palców. Zostawił w ich położeniu w przestrzeni swoją energię, swój wkład w organizację bytu.

Wspomnienia przytłaczają, rozpychają się w czaszce. Nie ma dokąd uciec, nie potrafię wyjść z własnej głowy. Jego obecność. Czy dziadek też tak miał, jak zegnał babcię? Chwytam się tej myśli. Nie zdążyłem jej poznać. Zmarła na zapalenie płuc w czterdziestym trzecim, ponad rok przed moim narodzeniem. Patrzy teraz na leżącego w trumnie męża z wysokości monidła nad wersalką. Jest bardzo młoda, może ma dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Karminowe usta rozchyliła w lęklwym uśmiechu. Obawia się fotografa? Małżeństwa? Życia? Zostało jej go jeszcze całe dwadzieścia dwa lata. Wyciśnie je jak Teresa czy przepuści między palcami jak mama?

Ktoś wymawia moje imię. Odwracam się. To matematyczka Porucznik. Twarda.

– Adam, poznajesz mnie, chłopcze?

– Oczywiście, pani profesor. Doskonale panią pamiętam. – Nie dodam, że to nie są szczególnie miłe wspomnienia.

Wychodzimy. Przygląda mi się natarczywie, mam ochotę odejść, ale wygrywa grzeczność.

– Ciebie po oczach to poznać, ale jakbym cię w Ciechanowcu spotkała... – Kręci głową.

– Pani za to wciąż świetnie wygląda. – Uprzejmie kłamię. Janina ma srebrną trójkę i z pięć rozmiarów więcej niż kiedyś.

– Twój dziadek, świeć, Panie... – zaczyna, a głos jej się zapada. Wydmuchuje nos i ciągnie: – Tyś ponoć na uniwersytecie został, doktorat nawet zrobiłeś?

– Tak. Fizyka. Moja specjalność to fizyka kwantowa.

– Kwantowa, proszę, proszę...

– A pani wciąż uczy w Połapach?

– Ano uczę, chłopcze. Uczę jeszcze, dopóki siłę mam. Szkoła, pewnie wiesz, zmieniła się. Sekretarz Wojno załatwił. Jest nowy porządny budynek, duże klasy, stołówkę mamy, salę gimnastyczną. – Akcentuje przymiotniki, jakby sądziła, że jedynym moim wspomnieniem z nauki tu jest ciasny i zrujnowany budynek z czerwonej cegły. – Uczniowie są inni.

– Społeczeństwo się zmienia. Myśmy do szkoły chodzili na piechotę, teraz pekaes dowozi z wiosek. Są telefony, radio, bywa i telewizor. Dzieci są inne.

– Tak, tak... – mówi nieuważnie. – Wiesz, tak myślę, może odwiedzisz szkołę, jeśli zostaniesz kilka dni? Opowiedziałbyś dzieciom... Stolica to świat, a tu większość za Mazowiecko nosa przez lata nie wystawi.

– Nie wiem, to zależy od mamy... Ale przemyślę. I dziękuję za zaproszenie.

– W poniedziałek, o wpół do jedenastej.

Zaraz, czy ja się zgodziłem? Ale ona już odchodzi, nie czeka na potwierdzenie.

Siadam na ławeczce przed domem. Dziadek spędzał tu godziny zapatrzone w swoje schludne podwórze, ze studnią pośrodku. Kury skubią rzadką trawę, miejscami wydeptaną. Po lewej miał stodołę, teraz rozłożoną jak stary sweter, z zapadniętym dachem i prześwitami w deskach. Kiedyś, kiedy mieszkałem już w Warszawie, w tej stodole trzymał perszerona do prac w polu. Co się z nim stało? Kochałem tego zwierzę. Latem wskakiwałem mu na grzbiet, gdy dziadek nie widział. Przytulałem się do ciężkiej, ciepłej szyi. Przychodziłem go podkarmiać dojrzałymi jabłkami i wykradzionym z kuchni w Warszawie cukrem. Przybiegałem tu, niby się przywitać, ale nie z dziadkiem, tylko z koniem.

Kiedyś nie wróciłem na obiad. Po śniadaniu powiedziałem, że idę do dziadka. A tak, mówi potem dziadek, pogadał, pomógł węgiel nosić i zniknął, jeszcze przed południem. Mama z ciotką alarm wszczęły, nic tylko se dzieciak krzywdę zrobił. Do rzeki wpadł, utopił się albo jaki dzik go zaatakował... Koło drugiej już było, jak wujo wezwany na poszukiwania mówi, baby głupie, sprawdźcie najpierw tam, gdzie chodził. I zaglądamy do stodoły, a tam ja, w sianie koło konika śpię, szczęśliwy, w dziadkową kufajkę się zawiąłem. Pamiętam to przebudzenie, jak nade mną dziadek z wujem się pochylają, a wtedy do stodoły wpada mama z płaczem i zaczyna mnie przytulać i głaskać, a ja nic nie rozumiem, ale co, ale dlaczego... No, i bez obiadu się musiało obejść, że tyle strachu matce napędziłem.

Następnego dnia dziadek babę upiekł ziemniaczaną. Do Warszawy połowę nam dał. Na kolację dostawałem ją odgrzaną na patelni, chrupiącą.

Chlipią tam i zawodzą baby. Co ze mną jest, że mnie to tylko wkurza? Próbuje sztuczek rodem z kiepskiego romansu, żeby wywołać w sobie

jakieś emocje. Wyobrażam sobie: dziadek nie popatrzy już z tej ławeczki na ogarnięte podwórze, nie zaskobluje niedomkniętych drzwi komórki, którymi wiatr majta bezwładnie. Stukają nierytmicznie i skrzypią, zaczyna mnie to wkurzać. Podchodzę.

W komórcie ciemno, ale przez szpary pasma światła oświetlają bałagan, którego dziadek nie nadązał już, a może nie chciał opanowywać. Tuż przy wejściu nowy czerwony rower z cienkimi oponami. Wzrok przyzwyczajają się do półmroku. Pod tylną ścianą, za stertą rur i drutów, stoi on: zakurzony stary rower, z dospawanym wielkim koszem na kółkach. Przedzieram się przez dziadkowe skarby, skrzynki, paczki, fragmenty silnika, narzędzia ogrodnicze, klucze i łomy. Odstawiam oparty na kierownicy kawał blachy, dotykam zakurzonego siodełka. Przed oczami mam obraz dziadka na tym rowerze. I jeszcze inne wspomnienie – to na nim szukałem wsi, którą kiedyś odwiedziłem, chyba w snach. Pamiętam ją tak dokładnie. I wieś, i tamtą dziewczynkę wygarniętą spod krzaka grabiny, noc, mężczyznę, który patrzy mi w oczy, jego ciężkie dłonie na moich ramionach, a w jego twarzy odbija się światło księżyca. Ten obraz powraca, uporczywie, choć coraz rzadziej. Kiedyś próbowałem to opowiedzieć dorosłym, patrzyli na mnie jak na idiotę. Wieś? Jaka wieś? Może Niszki albo Biała? W lesie? Jak w lesie? Las to las, wieś to wieś.

Racjonalnie patrząc, może i przyśniłem to wszystko.

Wyciągam ten zabytkowy rower z komórki. Rama mocno zardzewiała, łańcuch też. Jeśli zostaną kilka dni, zajmę się tym. Tymczasem przeprowadzam go do stodoły. Zepsute opony telepią głośno, dzwonek wydaje z siebie w rytm ich plaskania nieśmiałe dzyń-dzyń. Z kuchennego okna wygląda kobieca twarz i szybko się chowa.

U dziadka nie ma łazienki. Nie dał zainstalować wody bieżącej, choć wuj go namawiał. Nie i już. Myję ręce w misce ustawionej wygodnie

w sieni. Mydła pewnie używał jeszcze wczoraj rano. Ukłucie żalu. Zanurzam twarz w chłodnej wodzie. Gdy podnoszę oczy, czyjaś dłoń wystająca z przetartego rękawa kufajki krótkimi grubymi palcami podaje mi ręcznik. Podążam wzrokiem po wypłowiałym rękawie. To przecież woźna! Leontyna. Leontyna... Kosk. Pojawia się jak kiedyś, jak cień, cicho, znikąd. Patrzy czujnie. Wycieram twarz, usiłując zamaskować zmieszanie. Woźna – postrach szkolny, zjawia z innego świata, osoba-duch. Kobieta bez wieku, bez cienia kobiety w sobie. Sięga mi do piersi. Bada moje ruchy, czuję się pod jej spojrzeniem nagi. Małe oczy zagubione w szerokiej twarzy, zniekształconej ciemnym grubym znamieniem, jakby narośla, szukają moich oczu. Sprawiają, że proporcje i geometria przestrzeni ulegają zmianie, zapadam się w dół, kurczę, aż po chwili patrzę na woźną z perspektywy siedmiolatka sięgającego jej do łokcia. Zdumiony nagłą przemianą zastygam. Szczęśliwie wzrok Leontyny odrywa się i przenosi za moje plecy. Odwracam się.

– Adaś, jesteś. – Ciotka Teresa staje w drzwiach. – Ty weź jedź do domu. Pomóż no Basi, taryfo rano zajechała i ciurkiem zaiwania.

Wracam wzrokiem nad miskę, lecz Leontyny już nie ma. Odeszła równie cicho i niezauważenie, jak się pojawiła. Była tu w ogóle?

– A... hm... tak. Dobra, a wy?

– My posiedzim jeszcze przy tatusiu. No, to leć, kochany, leć. Jak co trzeba, to ci tam Lucynka Fiedorczukowa powie, bo w kuchni robi.

Tak, nic tu po mnie.

Podwórce ciotki Teresy jest gładkie i jasne pod betonowymi płytami. Zamiecione dokładnie. Buda psa przeniesiona pod płot od strony pola, gdzie jeszcze niedawno stał pobielony wychodek z malowaną co pół roku

deską do siadania. Naciskam klamkę bez zastanowienia, tu się nie puka, nawet nie ma dzwonka. I drzwi nie bywają zamknięte. Staję w progu kuchni, Basia, pochylona przy zlewie, odwraca głowę i wycierając ręce w fartuszek, biegnie rzucić mi się na szyję. Obok okna, w długim ciemnym fartuchu krząta się Lucyna Fiedorczykowa. Kiedy tu przyszła? Dopiero co była na Podlesiu...

– Jesteś! Nareszcie! – Basia jest drobniutka i pachnie świeżym praniem.

– Gdzie mama?

– Przyjdą z ciotką, jak się wypłaczą.

– Ciężko im – odpowiada i wraca do pracy.

Fiedorczykowa, odwieczna przyjaciółka rodziny, obserwuje mnie z drugiego kąta kuchni.

– Dzień dobry, pani Lucynko.

– Dzień dobry, Adaś, czekaliśmy na was. Zachodź do izby, weź daj walizki, to was rozłożę. A za czym żeś się rozbuł? Masz papcie?

– Mam kapcie, zaraz przyniosę walizki, tylko brama zamknięta, pod siatką zaparkowałem.

– A na co pod siatką, dzieciaku! Łoooleeek! Ooleek!

– Noo? – odpowiada stłumiony głos zza ściany.

– Weź ta otwórz bramę, Adaś przyjechał!

Drzwi od pokoju gościnnego otwierają się, staje w nich Olek: chłop prawie dorosły, chudy, żylasty, z wielkimi łapami, silnymi ramionami i małą niezgrabną czaszką. Ruchem głowy odrzuca na bok rzadką grzywkę. Podchodzi z uśmiechem.

– Serwus, stary! – Obejmuje mnie szorstko, krótko i klepie po plecach.

– Dawaj pod stodołę, pod samo ściano się bokiem przytul, potem inne auta się ustawi.

Idę za Olkiem, obserwuję jego wielkie stopy, ciężki krok, rozdeptane ubłocone buty. Dom nie jest duży. Gdy tu mieszkaliśmy, ciotka z wujem zajmowali większą sypialnię z szafą ścienną, stołem i przejściem na stary nieużywany ganek od ulicy. My we czwórkę – mniejszą, przechodnią, z oknami na podwórze. Trzeci, nieużywany na co dzień pokój, z najlepszymi meblami, dużym stołem i kolorowymi zasłonkami, czekał na gości, co tydzień zamiatany, myty, odświeżany. Potem, gdy przyjeżdżaliśmy tylko na wakacje, spali tam rodzice.

Umieszczam walizki pod łóżkiem w naszej dawnej sypialni. Na ścianie znany na pamięć obraz Ostrobramskiej. Do dolnej ramy przymocowano małą lampeczkę.

Wyciągam z walizek prezenty: cukierki, kawa, koniak.

– Ciotka się ucieszy, kawa to u nas aby zbożowa, a i cukierki na jutro się zdadzą. Ale teraz zabieraj mi to ze stołu, buraki będziem trzeć – zarządza Fiedorczukowa.

– Mogę coś pomóc?

– A weź z Olkiem stoły szykujta przy płocie, od sołtysa przynieśta.

Sołtys, Andrzej Hajduczyk, miły facet po czterdziestce, pokazuje nam stertę blatów i krzyżaków zalegających w jego stodole. Olek tłumaczy, że jest synem dawnego sołtysa, starego Hajduczyka. Żartuję do Olka, że po staremu funkcje tu są dziedziczne, ale on nie rozumie i odpowiada, że „wieś go uważa”. Nie wiem, co mnie bardziej śmieszy: czy to, że nie zrozumiał, czy to sformułowanie: „wieś go uważa”.

Olek jest sprawny w ruchach i dokładny. Drażni go moja nieporadność w przenoszeniu zbitych z desek blatów i krzyżaków. Stara się nie dać po sobie poznać, ale czuję tę jego irytację, poznaję po zniecierpliwionym wyrazie twarzy, syknięciach, cmoknięciach. Nie rozmawiamy. Dopiero gdy stoły nakryte ceratą, siadamy. Olek wyjmuje oranżadę, pociąga duży łyk,

wyciera rękawem i mi podaje. Przyjmuję ją z wdzięcznością. Krzepkość Olka, małe rozbiegane oczy, zaciśnięte usta... gdzież się podziała dobroduszna szeroka fizjonomia ciotki Teresy? Jej okrągło zakończony nos, rumiane policzki, duże ciemne oczy? W tym chłopaku wszystko jest kanciaste, twarde, szorstkie. Niepodobne do ciotki ani nawet wuja.

– Masz dziewczynę, Olek? – pytam w końcu, oddając mu butelkę.

– Eee. – Wzrusza ramionami w odpowiedzi.

– Ale masz jakąś na oku? – drążę, widząc jego zakłopotanie, lecz tym razem on tylko bierze kolejny łyk słodkiego musującego płynu. – No dajże spokój, coś taki skryty? Matura za rok, pora znaleźć jakąś.

– Daj spokój, robotę mam – odpowiada i odchodzi w kierunku domu. Drażliwy temat?

Do wieczora przewożę jedzenie, talerze z domu dziadka, jeżdżę po krewnych na stację do Szepietowa, noszę skrzynki z napojami, naczynia. Gdy wreszcie nadchodzi zmrok, a kuchnia tonie w zapachu pieczonych kurcząt i drożdżowych placków, czuję przytłaczające fizyczne zmęczenie. Ledwie zrzućwszy spodnie, zasypiam.

Śni mi się dziadek. Jest ciepły letni dzień. Dziadek wyprowadza swojego perszerona na podwórze. Widzi mnie, macha ręką. Chciałbym bardzo przytulić się, poczuć jego zapach, twarde dłonie na swojej głowie. I poczuć ciepło końskiej sierści. Próbuję podbiec, ale jestem uwięziony za płotem, wołam więc, „Wpuść mnie, dziadek, wpuść mnie!”. Dziadek się uśmiecha, jego oczy wydają się łagodne, ale nic nie mówi, odchodzi. Próbuję biec za nim, ale trzymają mnie czyjeś ręce. Wtedy otwierają się drzwi domu i staje w nich Olek. Rozkłada ramiona, opiera na framudze, stoi wyprostowany, omiata wzrokiem podwórze, drogę, las i pola. Nie widzi mnie, patrzy na drogę. Podążam za jego wzrokiem i spostrzegam wchodzącą w las postać dziewczyny. Widzę ją tylko przez chwilę, tyłem,

ale mam pewność, że ją znam. Skąd? Kto to? Ktoś dobrze znajomy. Grażyna? Tu? Gdy znów odwracam się, dziadek stoi obok wozu i też podąża wzrokiem za dziewczyną. Kiwa głową, jakby coś potwierdzał, dodawał mi otuchy, ale w czym?

Budzą mnie znane z dzieciństwa dźwięki wsi. W głowie pozostaje jeszcze łagodny obraz dziadka. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę: jednak tęskniłem. Leżę jeszcze chwilę z zamkniętymi oczami.

Zaraz po śniadaniu wyjeżdżam po ojca. Ranek jest rześki, słońce wysoko. Ogrzewa mi plecy, kiedy stoję na peronie. Zenek wysiada pierwszy. Długie włosy, broda, lenonki, zielona kurtka, szerokie spodnie. Dziecko kwiat. Plecak przez jedno ramię. Po chwili ostrożnie wysuwa się z drzwi walizka, a za nią ojciec. Stawia stopy niepewnie, czarne odświeżone buty stukają o peron, płaszcz ma przerzucony przez rękę, w której trzyma laskę. Na głowie nosi klasyczny kapelusz. Pod szyją śnieżnobiały kołnierzyk kontrastuje z czernią garnituru. Starannie ułożona do tyłu fryzura i grube oprawki okularów dodają jego wyprostowanej postawie intelektualnego sznytu. Idę im naprzeciw, nie spieszę się. Pierwszy widzi mnie Zenek. Mówi coś do ojca, ten unosi laskę w pozdrowieniu.

– Tato! Zenek!

– Synu! Witaj! – Ojciec obejmuje mnie serdecznie, trochę dłużej niż się tego spodziewałem.

– Cześć, bracie!

Bez słowa otwiera ramiona.

– Jak podróż, tato?

– W porządku, Adaś, w porządku. A mama, powiedz, od kiedy tu jest?

– Przyjechaliśmy wczoraj przed południem, autem. Czuwała przy dziadku do późna, a dziś to już pewnie przy trumnie, jak i ciotka.

– No tak, no tak... autem, mówisz? – Ojciec przytakuje w roztargnieniu i rozgląda się za czymś.

– Syrenką moją. Wiesz, kupiłem, często jeżdżę na wykłady, wygodnie mi.

Dlaczego czuję się w obowiązku tłumaczyć? Czy nie wystarczy powiedzieć „moim samochodem”? Ojciec z dezaprobatą kręci głową, nie komentuje. Zenek uśmiecha się, a ja czuję w tym uśmiechu szyderstwo.

– Zenek, a co z twoją magisterką, dyplomem? Kończysz? – zagaduję, gdy opuszczamy Szepietowo.

– Daj spokój, jak zrobię, to ci powiem, dobra?

– Coś taki drażliwy?

– Nie lubię, jak grasz starszego brata.

– Bo nim jestem.

– Jak jest okazja.

– Co, mam cię niańczyć na co dzień czy co?

Wzrusza ramionami, odwraca głowę. Nie pada już ani słowo. Kiedy nasze życia tak się rozjechały? Próbowałem tylko nawiązać rozmowę, czemu to takie trudne?

Gdy wjeżdżamy na podwórze, w rzędzie stoi już kilka samochodów. W kuchni jeszcze rojno, choć ciotki ani mamy już nie ma. Basia wita się z tatą i rzuca się w ramiona Zenka. Teraz dopiero Zenek jest sobą: uśmiecha się, obejmuje ją, rozmawiają. Jej oczy błyszczą. Jest śliczna w czarnej krótkiej sukience i wysokich butach. Wychodzimy we czwórkę, za nami reszta gości. Już z daleka z zagrody dziadka, dochodzi *W krainie życia*. Zwalniamy. Robi się chłodno.

CZĘŚĆ 2. NALOT (SIEW)

Dostępne w wersji pełnej

CZĘŚĆ 3.
MŁODNIK

Dostępne w wersji pełnej

CZĘŚĆ 4.
TYCZKOWINA

Dostępne w wersji pełnej

CZĘŚĆ 5. DRAĞOWINA

Dostępne w wersji pełnej

CZĘŚĆ 6.
DOJRZEWANIE. RĘBNIA

Dostępne w wersji pełnej

CZĘŚĆ 7.
STARODRZEW

Dostępne w wersji pełnej

CZĘŚĆ 8.
KORZENIE

Dostępne w wersji pełnej